

Wirusy i chińskie smoki

26 lutego 2020

Prasa na całym świecie donosi o brutalnych aktach rasizmu wymierzonych w osoby chińskiego (lub innego azjatyckiego) pochodzenia w historycznej reakcji na epidemię nowego koronawirusa. W erupcjach irracjonalnej nienawiści manifestuje się nie tylko ta konkretna psychoza – stanowią one także kolejny epizod znacznie dłuższej sekwencji, w której Chiny i ich zniekształcany wizerunek obsługują różne ideologiczne „potrzeby” zachodnich mocarstw i euroatlantyckich populacji skołowanych stanem swoich własnych systemów politycznych.

Kolejne wątki i epizody tej niekończącej się opowieści wciąż wyciągają zużyte rekwizyty starych porządków kolonialnego rasizmu i zimnowojennego antykomunizmu (w którym Pekin przejął rolę Moskwy). Orientalny despotyzm, komunistyczne okrucieństwo, jedzenie nietoperzy.

O czym nie mówimy, kiedy mówimy o Chinach

Współczesny zachodni dyskurs o Chinach jest oczywiście niebezpieczny dlatego, że przypadkowych ludzi czyni kozłami ofiarnymi w aktach bezmyślnej przemocy – do tego w ramach kampanii niepotrzebnej paniki. Ale nie tylko dlatego. Jest niebezpieczny, bo reprodukuje i utrwała systematyczną (i być może celową) niewiedzę na temat drugiego najpotężniejszego dziś państwa na świecie. Jest niebezpieczny również dlatego, że często przebiera się w szmatki dyskursu „krytycznego”, pełnego antyautorytarnych frazesów i inwokacji do praw człowieka, ponosząc jednak jako dyskurs krytyczny sromotną porażkę.

Nie kwestionuję hurtem wszystkich stawianych Chinom zarzutów – jednak kolosalna część tego „krytycznego” dyskursu stanowi

zupełnie niekrytyczne, a nawet „antykrytyczne”, przekierowywanie niepokojów wynikających z postępującej degrengolady naszych własnych tzw. liberalnych demokracji, odwracanie od niej uwagi na odległe mocarstwo, którego przedstawieniami łatwo manipulować, bo jest mało znane i mówi wyjątkowo niezrozumiałym dla nas językiem. Ekscytujemy się np. kontrolą prasy i Internetu w Państwie Środka, podczas gdy nasza własna wolność słowa, informacji i prasy zarzynana jest w samych centrach „zachodniej demokracji liberalnej” – w najbardziej spektakularny sposób w postaci torturowania Juliana Assange’a i Chelsea Manning – przy minimalnym zainteresowaniu samej prasy.

Inwigilacja i algorytmy

Podgatunkiem tego dyskursu są legendy o chińskim systemie zaufania społecznego (zwanego „social credit score” w mediach anglojęzycznych). W ramach tego systemu obywatele zyskiwaliby lub tracili punkty w zależności od swojego zachowania w różnych polach społecznych, a rezultat miałby wpływ np. na dostęp do różnych dóbr i usług, np. większych podróży. Tymczasem żaden taki system na poziomie ogólnopaństwowym w Chinach nie istnieje. Istnieją regionalne i miejskie programy pilotażowe, ale żaden z nich nawet w przybliżeniu nie dysponuje taką wiedzą o poszczególnych jednostkach, jaką w ramach od dawna istniejących systemów finansowej oceny kredytowej („credit score”) o swoich klientach dysponuje pierwszy lepszy anglosaski bank. W niektórych zakątkach „anglosfery” od bankowego credit score może zależeć nie tylko, czy dostaniesz kredyt (i jak oprocentowany), ale nawet czy dostaniesz pracę w niektórych branżach, albo czy zdołasz wynająć najlichsze mieszkanie. Póki co, żaden z chińskich systemów zaufania społecznego nie ma nawet w połowie tak głębokiego wpływu na życie takich mas ludzi.

Dlaczego właściwie dostęp do np. podróży lotniczych nie mógłby być ograniczany dla jednostek aspołecznych, które ciągle

powodują wypadki na drogach czy nie wywiązują się z istotnych społecznych zobowiązań (ich social credit score karnie obniżany), a zwiększany dla osób, które – powiedzmy – udzielają się społecznie (ich social credit score w nagrodę podnoszony)? W warunkach katastrofy klimatycznej, im prędzej zaczniemy pewne rzeczy (np. podróże samolotem) reglamentować, tym lepiej. Nie wylewałbym więc tego dziecka z kąpielą.

Jesteśmy wszyscy znacznie bardziej inwigilowani przez Google, Apple i Facebooka, niż Chińczycy przez istniejące jak dotąd systemy zaufania społecznego. Wiedza ta jest następnie sprzedawana korporacyjnym naciągaczom i politycznym hochsztaplerom. Groza, z jaką świat euroatlantycki lubi sobie odpowiadać o chińskich programach, to klasyczny przypadek tego, co psychoanaliza nazywa przeniesieniem, na masową skalę. Komuś to tymczasem służy, że odwracamy swoją uwagę w tak odległym kierunku.

Szpiedzy z krainy Huawei

Skoro wspomnieliśmy już o Google, Apple i Facebooku – inwigilacja technologiczna to kolejne pole, na którym Chiny – albo „Chiny” – kanalizują ideologicznie napięcia wynikające z niepokojącego stanu naszych własnych, euroatlantyckich „liberalnych demokracji” (cudzystłów coraz bardziej konieczny). Głównym straszakiem w tej reżyserowanej przez Biały Dom farsie jest chiński gigant technologiczny, Huawei.

Histeria Waszyngtonu bierze się przede wszystkim z tego, że Chińczycy wyprzedzili Amerykanów o kilka długości w rozwoju technologii 5G (już pracują nad 6G). Baśnie o tym, że Chińczycy, przy użyciu swoich telefonów i nadajników będą szpiegować cały świat, mają odwrócić naszą uwagę od faktu, że Amerykanie już od dawna to robią. Wiemy o tym od Edwarda Snowdena i Glenna Greenwalda. Rurociągi z danymi dla amerykańskiego wywiadu płyną od Google, Apple, Facebooka i innych gigantów technologicznych. Jeśli kiedykolwiek

korespondowałeś elektronicznie z Amerykaninem, który był w zasięgu jakiegoś politycznego „podejrzenia”, amerykański rząd może dziś także o tobie wiedzieć więcej niż rząd twojego własnego państwa. Dopiero co dowiedzieliśmy się, że CIA była właścicielem szwajcarskiej firmy sprzedającej urządzenia szyfrujące rządowi, które myślały, że się w ten sposób zabezpieczą przed szpiegowaniem. Kilka dni później wyszło na jaw, że Unia Europejska pracuje nad wielkim projektem inwigilacyjnym – do integracji z już istniejącymi systemami amerykańskimi.

Jeżeli w amerykańskich lamentach nad chińskim szpiegowaniem jest w ogóle jakiś szczerzy element, to chyba tylko ten, na który zwrócił uwagę południowoafrykański prezenter i satyryk, gwiazdor amerykańskiej telewizji, Trevor Noah. Amerykanie są zaniepokojeni, bo chcieliby pozostać jedynymi, którzy są w stanie szpiegować w ten sposób cały świat.

Polska specyfika

Histeria wokół Huawei odbiła się echem także w nad Wisłą, ujawniając, jak zwykle, polską specyfikę. Jest nią bezkrytyczne powtarzanie dyskursu demonizującego Chiny także przez lewicę. Partia Razem biła na alarm, strasząc infiltracją państwa przez szpiegujące technologie Huawei, milcząc na temat szpiegowania nas wszystkich przez technologie zupełnie innego imperium, któremu jesteśmy bezkrytycznie podporządkowani militarnie i dyplomatycznie na arenie międzynarodowej. Tymczasem chińskie szpiegowanie ludzkości pozostaje jedynie w najlepszym razie hipotezą (jeżeli nie fantazją), podczas gdy szpiegowanie nas przez urządzenia, systemy i służby amerykańskie jest doskonale udokumentowanym faktem.

Najbardziej niepokojące jest, kiedy powtarzając ten dyskurs polska lewica nie odsiewa nawet rasistowskich tropów, którymi jest upstrzony. Z tym mamy do czynienia w przypadku komentarzy na temat koronawirusa. Kiedy Chinom coś wymknie się spod

kontroli, jest to dowodem „nieudolności reżimu”. Kiedy coś zrobią skutecznie – jego autorytaryzmu i totalitarnej wszechmocy. Czasem w jednym i tym samym komentarzu. Hipoteza, że źródłem epidemii są ekscentryczne orientalne zwyczaje żywieniowe (zupy z nietoperzy itd.), powtarzana jest jak fakt. A rząd w Pekinie oczywiście zawalił sprawę. Nie dalej jak kilka dni po utrzymanym w takich tonach komentarzu ekspertki polskiej lewicy Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) wyraziła się z uznaniem i podziwem dla wzorowej skuteczności chińskiego państwa w odpowiedzi na wybuch epidemii.

Lewica musi rozwijać swoją własną krytyczną analizę Chin i ich porządku społecznego, tym bardziej, że być może wkrótce to Państwo Środka będzie odgrywać główną rolę w określaniu przyszłości całej ludzkości. Nie może jednak sobie pozwolić, by jej internacjonalistyczny impuls był tak łatwo przechwytywany przez dyskursy dyktowane przez zupełnie kogo innego. Nie powinna pozwalać na to, by dyskurs grozy opisujący Chiny jak największe zło po prostu odwracał uwagę od zagrożeń, które czają się dosłownie za rogiem i przychodzą z zupełnie innej strony. Powinna reagować odruchem krytycznym wobec dyskursów zbyt jednogłośnie powtarzanych przez dominujące media i panujące (po obu stronach Atlantyku) siły polityczne. Powinna pytać, dlaczego inwigilacja miałaby być zła tylko wtedy, kiedy jest chińska, dlaczego mówimy dziś o koronawirusie w taki sposób, oraz komu to za każdym razem służy?

Rynek, centralne planowanie i nasze przetrwanie

Panika wokół koronawirusa obsługuje nasze lęki, bo mamy się czego bać. Przemysłowa produkcja żywności dystrybuowanej globalnie, a także nasze własne podróże i migracje, mogą mieć skutki w postaci błyskawicznie rozprzestrzeniających się pandemii. Coraz mniej antybiotyków zachowuje swoją skuteczność

i póki co nie wiemy, czym zastępować te, które przestają działać. Katastrofa klimatyczna sprawi, że tropikalne choroby mogą dotrzeć w miejsca dotychczas od nich wolne, a topniejące lodowce odmrozić nieznane nam wirusy i bakterie. I tak dalej.

Boimy się jednak nie tylko zagrożeń, które nadchodzą, ale także tego, że nasze systemy ochrony zdrowia nie będą w stanie stawić im czoła. Żebyśmy nie mieli czasu zastanowić się poważnie, dlaczego nie będą w stanie – za sprawą dekad ich neoliberalnego demontażu, niedofinansowania i urynkowania, które sprawia, że środki podążają tam, gdzie widzą szybki zysk, a nie tam, gdzie są priorytetowe potrzeby – popychani jesteśmy w stronę karmionej starymi rasistowskimi tropami paniki. Zamiast źródła problemu, neoliberalnego utowarowienia zdrowia, mamy się bać być może jedynego skutecznego rozwiązania – ucieleśnionego przez Chiny centralnego planowania.

Tak się akurat składa, że centralne planowanie jest warunkiem sine qua non rozwiązania nie tylko tego jednego problemu, ale kluczowych problemów naszych czasów w ogóle – katastrofy klimatycznej i trwającego od 2008 roku zapaści ekonomicznej. Nie przesadzając, jest warunkiem naszego zbiorowego przetrwania na tej planecie.

Żadne mechanizmy wolnorynkowe nie postawiłyby w tydzień w pełni operacyjnego szpitala, by walczyć z nowym wirusem. Żaden system oparty na chaosie sił rynkowych nie pozwoliłby na to, żeby mieszkańcom wielomilionowego miasta zalecać pozostawanie w domu przez kilka tygodni (jakież to byłyby straty!). „Niewidzialna ręka” zadowoliłaby się hossą na rynku trumien i trzymała swoich długofalowych inwestycji w leczenie zaburzeń erekcji i rozwijanie wyposażonych w sztuczną inteligencję zabawek do masturbacji. Chiny mogły takie rzeczy zrobić, bo są gospodarką centralnie planowaną, w której kapitał i rynek znajdują się pod polityczną kontrolą państwa. To odkryciu przez nas tej różnicy zapobiegać ma kreowanie wrażenia, że Chiny są w jakiś sposób odpowiedzialne albo za pojawienie się

wirusa (czy też jego przejście na ludzi), albo za „nieudolność” w walce z nim.

Autorstwo: Jarosław Pietrzak

Źródło: Trybuna.info